BEZPŁATNY
DODATEK DO „GŁOSU POMORZA"

ŚWIAT KOBIECY

Jak został wynaleziony rad?

Maria Curie-Skłodowska znana i ceniona na całym świecie

Najsłynniejsza Polka, jedna z najmądrzejszych kobiet, jakie znała ludzkość — Maria Curie-Skłodowska — jest znana na całym świecie.

Warto się przyjrzeć dziejom tej kobiety, o której powiedział Einstein: **„Pani Curie jest — z wszystkich ludzi na świecie — jedynym niezepsutym przez sławę człowiekiem".**

Życie Marii Skłodowskiej jest nie tylko zbawienne dla ludzkości, ale jest również ciekawe. Przekonała nas o tym jej rodzona córka, która na tle życia matki napisała piękną książkę. Książkę Ewy Curie pt. „Curie-Skłodowska" czyta się jak powieść — tak ciekawe są losy kobiety, która **dała ludzkości w darze broń przeciw rakowi, tej najstraszniejszej ze współczesnych chorób.**

Trudna młodość

Maria Skłodowska wyszła ze skromnych stosunków, ale ze środowiska bardzo intelektualnego. Ojciec, człowiek wysokiej inteligencji, był nauczycielem matematyki i fizyki, matka prowadziła pensję. Warunki życiowe były ciężkie. Młodość ówczesnego pokolenia zaciemniona była stosunkami, jakie panowały w Królestwie z powodu barbarzyńskiego ucisku rządów rosyjskich.

Maria, trzy jej siostry i brat uczęszczali do gimnazjum rosyjskiego. Wychowywali się w wrogim nastroju do rosyjskiego charakteru szkoły. Nauka języka polskiego i historii polskiej odbywała się tajnie.

W r. 1883 kończy Maria szkołę średnią, zdobywając złoty medal. Pragnie się kształcić i myśli o wyjeździe do Paryża. Poświęca się jednak dla starszej siostry i, aby jej zapewnić środki na studia w Paryżu, obejmuje posadę nauczycielki domowej. Cztery lata przepędza w ten sposób, zanim wreszcie i jej warunki nie pozwalają wyjechać na upragnione studia.

Pierwsze czasy w Paryżu ma ułatwione, gdyż mieszka u starszej siostry, która wyszła za mąż za doktora Dłuskiego. Wkrótce jednak opuszcza Dłuskich, gdyż chce mieszkać sama, by całkowicie poświęcić się studiom. Studiuje matematykę, fizykę i chemię, opanowuje technikę laboratoryjną, pokonując też początkowo trudności językowe.

W 26-tym roku życia spotkała młodego Francuza. Był to Piotr Curie, pracujący w Sorbonie, jako znany już fizyk. Po krótkiej znajomości, Piotr oświadczył się o jej rękę. Maria jednak nie chciała ani słyszeć, gdyż chciała wrócić do kraju i tam pracować. Piotr nie ustępował i zwyciężył. Pobrali się. Nawiązała się między nimi najpiękniejsza nić, jaka kiedykolwiek łączyła mężczyznę z kobietą.

Warunki życiowe były trudne i ciężkie. Maria spełniała swe obowiązki żony i matki, ale przy nauce pozostała.

Odkrycie radu

Po dwóch licencjach i konkursowym egzaminie nauczycielskim następnym etapem był doktorat. Maria wybierając sobie temat tezy doktorskiej w zakresie fizyki, zajęła się wynikami doświadczeń Henryka Becquerela.

Po odkryciu promieni Roentgena, Henryk Poincare zaczął badać, czy ciała t. zw. fluoryzujące nie wysyłają pod wpływem światła promieni podobnych tamtym Becquerel, zainteresowany tym zagadnieniem, poddał badaniom związki rzadko spotykanego metalu — uranu. Niespodziewanie przekonał się, że sole uranu wysyłały samorzutnie, bez uprzedniego naświetlania, promienie o charakterze dotychczas nieznanym. Zjawisko to nazwała Maria Curie później promieniotwórczością, ale na razie było ono zagadką. Rozwiązaniem tej zagadki zajęła się Maria, a z czasem, gdy doświadczenia jej zaczęły być coraz ciekawsze, zajął się nimi także Piotr i odtąd zaczęła się ich ścisła współpraca, która zakończyła się odkryciem radu. Doświadczenia trwały całe lata, a prowadzone były w drewnianej szopie w warunkach najbardziej niehigienicznych! **Żaden „szanujący się" robotnik nie zgodził by się pracować w tego rodzaju laboratorium, z którego miał wyjść tak sławny na cały świat wynalazek.**

Bez żadnego poparcia z nikąd pracowali oboje z zamiętaniem, bez najmniejszej troski o swe zdrowie. Żyli przy tym w niesłychanych kłopotach finansowych. Piotr, mimo starań nie może uzyskać katedry w Sorbonie, musi udzielać za 500 fr. miesięcznie pensji w szkole fizycznej 120 wykładów rocznie i kierować laboratoryjnymi pracami studentów. Dla zasilenia budżetu podejmuje też inne lekcje a Maria uczy fizyki w seminarium nauczycielskim. Obciąża ich to ogromnie i pracują ponad siły.

Osiągają swój cel i uzyskują rad — cudowne niepojęte ciało. W postaci chlorku wygląda on jak biały matowy proszek, całkiem podobny do zwykłej soli kuchennej. Wkrótce właściwości jego okażą się coraz bardziej zdumiewające. Pierwszy gram radu wydobyli własnymi rękami, przerobiwszy w swej drewnianej szopie 8 ton odpadków smołki uranowej metodą własnego pomysłu.

Działanie lecznicze radu stało się w krótkim czasie głośne. Rad nabierał ogromnej wartości.

Państwo Curie mogli stać się ludźmi bardzo bogatymi. Należało tylko opatentować wynalazek. Jedno i drugie jednak odpycha to ze wstrętem. Maria mówi:

„Fizycy zawsze ogłaszają bez wszelkich zastrzeżeń wyniki swych badań. Fakt, że nasze odkrycie ma przed sobą także i handlową przyszłość, jest zbiegiem okoliczności, z którego nie wolno nam korzystać. Jeśli zaś rad ma służyć jako środek leczniczy, tym bardziej nie wydaje mi się możliwe, abyśmy zarabiali na nim".

Światła i cienie

Z goryczą notuje córka, że Maria nie uzyskała fotelu w Akademii. Grały tu rolę małostkowe względy, by do Akademii nie dopuścić kobiety, a zapewne też cudzoziemki.

Za to **otrzymała w r. 1911 nagrodę Nobla.**

Autorka zaznacza:

„Ilekroć się nadarzy okazja, aby poniżyć tę wyjątkową kobietę, aby odmówić jej jakiegoś zaszczytu czy nagrody — wypomina się jej pochodzenie. Mówi się, że jest żydówką, Rosjanką, Niemką, Polką — w ogóle „cudzoziemką", która przyjechała do Paryża, aby tu sobie przywłaszczyć wysokie stanowisko. Ale za każdym razem, gdy dzięki niej nowe laury zdobywa nauka, gdy ją poza granicami Francji czczą, honorują, jak jeszcze nikogo nigdy nie honorowano, staje się ona natychmiast w tych samych dziennikach „ambasadorką Francji", „najczystszą przedstawicielką geniuszu francuskiej rasy" i francuską „narodową chwałę". Wówczas — tak samo niesprawiedliwie — milczy się o **jej polskim pochodzeniu, z którego jest dumna".**

W czasie wojny światowej oddała Maria niesłychane usługi swej przybranej ojczyźnie. Przewidziała, że wojna będzie długo trwała, mordercza i że trzeba będzie operować rannych od razu w szpitalach przyfrontowych, które muszą wobec tego posiadać odpowiednie urządzenia do prześwietleń. Zajęła się tą sprawą dostarczania wszędzie aparatów roentgenowskich w samochodach. Samochody te były ochrzczone w armii mianem „małych Curie". Na cały czas wojny porzuciła naukę a poświęciła się służbie samarytańskiej.

Po wojnie stała się przedmiotem czci, okazywanej jej na całym świecie. W Stanach Zjednoczonych przyjmowano ją jak monarchinię, nie mniej inaczej w różnych stolicach Europy.

Pracowała naukowo do ostatnich lat życia. Umarła w r. 1934.

W Ameryce ukrócono wyzysk kobiet

pracujących zawodowo

Ameryka słynie z ciągłych strajków. Nam Europejczykom zdawało się, że nikt tak dobrze nie zarabia jak właśnie Amerykanki i dlatego strajki kobiet pracujących zawodowo dziwiły nas najbardziej.

Zwłaszcza w ostatnim roku coraz częściej powtarzały się strajki okupacyjne kobiet, zatrudnionych w handlu, hotelach, restauracjach i pralniach, oraz innych gałęziach przemysłu, aż rząd zwrócił na ten niebezpieczny objaw baczniejszą uwagę. Bezczelny wyzysk kobiet pracujących został ostrymi zarządzeniami nareszcie ukrócony. Po dokładnym rozpatrzeniu warunków pracy i płacy, przedłożonych przez wszystkie związki zawodowe, wydano ustawę normującą zarobki kobiet i ogłoszono minimum płac w poszczególnych okręgach i zawodach i w razie niestosowania się do zarządzeń państwowych, grożą pracodawcom ostre i bezwzględne sankcje karne.

Obecnie najniższa płaca dla wykwalifikowanych ekspedientek wszystkich gałęzi handlu U. S. A. została ustalona na 17 dol. tygodniowo (ponad 45 mk.). Jest to ostateczna decyzja Najwyższego Sądu Stanów Zjednoczonych, wydano w roku ubiegłym dla Stanu Washington, która objęła całe państwo z dniem 1 kwietnia br.

Zgodnie z relacjami Biura Kobiet przy Departamencie Pracy w Washingtonie, prawo o minimalnym wynagrodzeniu kobiet obowiązuje już w 22 stanach. W innych stanach Ameryki powstały już specjalne wydziały, mające na celu ustalenie minimalnych płac dla kobiet, uzależnionych od kosztów utrzymania.

Najlepiej opłacanymi są biuralistki zajęte załatwianiem telefonów, które zarabiają przeciętnie 25,33 dol. tygodnio (przeszło 65 mk.), zaś t. zw. operatorki telefoniczne otrzymują 22,03 dol. tyg.

Po przeprowadzeniu kontroli przez rząd okazało się, że ekspedientki w stanie Columbia były najgorzej opłacane i za 48 godzin pracy tyg. otrzymywały zaledwie 12 dol, zaś pracownice hoteli i pralni w całej Ameryce były wykorzystywane do tego stopnia, że płacono im zaledwie 9 dol. tyg. za 48 godz. pracy.

Wskutek wprowadzenia w życie zbiorowej ustawy o minimum zarobków dla poszczególnych zawodów kobiecych, zniesiono zupełnie wyzysk kobiet, których stopa życiowa uległa ogromnej poprawie. Zniknęły raz na zawsze fermenty, strajki i poszukiwania tańszych sił, które doprowadzały do niezdrowej konkurencji zawodowej. Bezrobotna dziewczyna godziła się na najniższy zarobek, byleby tylko otrzymać nareszcie pracę, szkodząc tym samym setkom pracującym.

Tym sposobem Ameryka w ciągu zaledwie jednego roku załatwiła się z drażniącą kwestią kobiet pracujących, kładąc bezapelacyjnie kres wyzyskowi.

Przez noc stał się milionerem

Błogosławiona kąpiel — Zaczarowana grota

Szczęśliwy przypadek dopomógł już niejednemu do zdobycia upragnionych bogactw, czyniąc go niejednokrotnie przez noc milionerem. Trzeba mieć szczęście... To wszystko. Ostatnio prasa indyjska rozpisywała się szeroko o niezwykłej przygodzie inżyniera John W. Hoovera, która brzmi jak fantastyczna bajka z tysiąca i jednej nocy. Jest jednak prawdziwym wydarzeniem, które rozsławiło nazwisko Hoovera w całych Indiach i poza ich granicami.

John W. Hoover był zwykłym inżynierem, zatrudnionym przy budowie linii kolejowej na północ od Bombaju w stanie Haidarabad. Dokonywał on przy pomocy sztabu robotników pomiarów kamiennych wzgórzy nad rzeką Bhimatales. Nieznośny upał i kurz tamowały oddech, paraliżując się mięśni. Wszyscy tęsknili za orzeźwiającą kąpielą. Ale pobliska rzeka Bhimatales roiła się od żarłocznych krokodyli, grożących rozszarpaniem każdemu śmiałkowi. Inżynier przypadkowo dowiedział się, że w odległości kilku kilometrów znajduje się w skałach małe jezioro, wolne od krokodylów. Nie namyślając się długo, Hoover wybrał się natychmiast w drogę i po kilku godzinach stanął nad brzegiem jeziora, położonego wśród dziko rozsianych skał i pagórków. Odtąd inżynier często wybierał się do tego uroczego ustronia, szukając w wodzie ochłody przed żarem promieni słonecznych. Po kilku dniach podpadło mu coś, co tylko ludziom o wrodzonym zmyśle spostrzegawczości nie mogło ujść uwadze. Zauważył bowiem, że rzeka ma tylko dopływ bez odpływu, a mimo to woda utrzymuje się na jednym i tym samym poziomie. Zaciekawiony tym niezwykłym zjawiskiem, Hoover postanowił za wszelką cenę odkryć koryto odpływu wody. Ale mimo skrupulatnych badań tajemnicy nie mógł odkryć. Wreszcie wpadł na szczęśliwy pomysł. Puścił na gładką taflę wody kilka korków, które ledwo widzialny prąd poniósł w stronę skał. A więc tam należało szukać rozwiązania zagadki. Hoover w małym czółnie popłynął za korkami i zauważył, że woda zabrała je do małego otworu pieczary, wyżłobionej w skale. Otwór był tak mały, że zaledwie jedna osoba mogła znaleźć w nim pomieszczenie. Brodząc po szyję w wodzie Hoover postanowił wejść do nieznanej pieczary. Po kilku krokach stanął jak wryty. Wąski otwór zaprowadził go do olbrzymiej groty, a gdzie tylko okiem sięgnąć, wszędzie zwisały bryłki czystego złota. Pod wrażeniem czarodziejskiego widoku inżynier przepędził w zaczarowanej, kapiącej złotem jaskini cały dzień, wreszcie z bijącym od szczęścia sercem opuścił pieczarę. Zaraz nazajutrz porzucił pracę przy budowie kolei, zakupił całe jezioro wraz z grotą i natychmiast rozpoczął eksploatację cennego kruszcu.

Odtąd opływał w wszelkie dostatki. Odkryta bowiem przez niego kopalnia złota przedstawia wartość przeszło 120 milionów marek.

Zwykły przypadek dopomógł nieznanemu dotąd i niezamożnemu inżynierowi do zrobienia milionowej fortuny.

01049

KĄCIK DLA DZIECI

Przygody Kropeczki

W pięknym, dużym ogrodzie żyła sobie cała rodzina Biedronek. Wszystkie były prześliczne, czerwoniutkie, nakrapiane czarnymi kropkami. A już chyba najładniejsza to była maleńka biedroneczka, którą wszyscy nazywali Kropeczką. Jej mamusia, starsza pani Biedronka, takiej jej dała imię, dlatego, że miała na skrzydełkach najwięcej czarnych kropeczek.

Mała kropeczka była bardzo samodzielna. Lubiła robić dalekie wyprawy na drugi koniec ogrodu, gdzie żadne z jej rodzeństwa nie odważyłoby się pójść bez opieki rodziców lub jakieś doświadczonej biedronki.

Zresztą i starsi nie bardzo chętnie urządzali dalekie wycieczki.

— Zawsze to nie zbyt bezpiecznie — mówiła mama Biedronka — chodzić tam, gdzie tyle ludzi się kręci. Ludzie nie są źli, ale są tacy ogromni, że zupełnie niechcący mogą nam zrobić krzywdę.

— Ja tam niczego się nie obawiam — odpowiadała Kropeczka wzruszając skrzydełkami. — Jestem ciekawa wielkiego świata. Chciałabym kiedyś zupełnie, ale to zupełnie blisko zobaczyć człowieka.

No, i pewnego wiosennego dnia wybrała się Kropeczka samotnie, nikogo w domu nie uprzedzając, na daleki spacer. Postanowiła dostać się do domu, gdzie mieszkają ludzie, aby w końcu z bliska zobaczyć człowieka.

Bardzo długo szła i szła. Czasem podfrunęła kawałeczek, ale później znowu wędrowała piechotą, aby się wszystkiemu po drodze doskonale przyjrzeć.

W końcu przyszła pod ganek dużej willi. Wdrapała się na murek i po chwili była już na parapecie okna. Wolniusieńko, ostrożnie spełzła po ścianie na podłogę. Tu postanowiła odpocząć, była bardzo zmęczona, chętnie nawet przespałaby się troszeczkę. Usiadła więc na Promieniu słonecznym, który przyszedł po nią przez otwarte okno.

— Usiądź Kropeczko — powiedział Promień grzecznie.

Kropeczka podziękowała Promieniowi (rodzina Biedronek była z Promieniem słonecznym w wielkiej przyjaźni) i już właśnie miała usadowić się wygodnie, gdy nagle tuż koło niej na Promieniu usiadła duża czarna Mucha.

— Co tu robisz, czerwony potworku? — zabzykała nieprzyjemnie — tu nie dla ciebie miejsce, tu jest moje królestwo.

— Przepraszam cię, pani Mucho — szepnęła Kropeczka nieśmiało. — Ja chciałam tylko z bliska zobaczyć człowieka. A że bardzo jestem zmęczona daleką drogą, więc skorzystałam z zaproszenia Promienia i usiadłam tu na chwileczkę.

— Ha, ha, ha — bzyknęła mucha szyderczo — chcesz zobaczyć z bliska człowieka. Człowiek, wielka mi rzecz. Mało to naspacerowałam się ludziom po twarzach, po rękach, mało im nadokuczałam.

— Jeśli chcesz — dodała po namyśle, uśmiechając się złośliwie — to pokażę ci człowieka.

— O, bardzo cię proszę, pani Mucho, jeśli będziesz taka dobra...

— No to chodź. Musimy pofrunąć, bo to wysoko.

To mówiąc uniosła się w powietrze, a Kropeczka za nią. Promyczek z ziemi wołał za Kropeczką, aby lepiej nie zadawała się z panią Muchą, ale biedroneczka tak przejęta i taka zaciekawiona, że nawet już tego wołania nie usłyszała.

Wylądowały na jakimś dużym placu, gdzie leżały wielkie papiery.

— Widzisz mała, tu siedzi człowiek i pisze. Jeśli mu się wejdzie na rękę, to strasznie się gniewa.

Kropeczka zobaczyła, jak Mucha weszła człowiekowi na rękę, podążyła za nią, choć zaczął ją nagle ogarniać lęk przed ludzkim gniewem, o którym mówiła Mucha. Człowiek spędził Muchę niecierpliwym ruchem, Kropeczka fiknęła w powietrzu kozła i bezwładnie spadła na papier.

Mucha fruwała tuż nad stołem, zanosząc się od śmiechu.

Jakież jednak było jej zdziwienie, gdy człowiek delikatnie podniósł Kropeczkę, przyjrzał się jej uważnie i z uśmiechem.

— Spotka mnie coś dobrego — powiedział — przyszła do mnie Boża krówka.

Ujął Kropeczkę w dwa palce i schował do jakiegoś ciemnego, ciasnego korytarza.

Duszno tam było Kropeczce i strasznie. Prawie nie mogła oddychać. Maleńkie serduszko biło mocno ze strachu. Prawe skrzydełko bolało bardzo. Widocznie musiała je sobie uszkodzić upadając.

Przesiedziała tak może ze dwie godziny w swoim ciasnym więzieniu, na próżno wołając mamy. Straciła już całkiem nadzieję jakiegokolwiek ratunku, kiedy nagle... otworzyły się ciasne ścianki. Zrobiło się jasno i wygodnie. Ktoś powiedział:

— Spójrzcie, biedronka! Spotka mnie jakieś szczęście!

— Jeśli będziesz ją męczył w portfelu, to napewno nic dobrego cię nie spotka — odpowiedział drugi głos.

— Ale przecież, aby biedronka przyniosła szczęście, trzeba ją trzymać przy sobie.

— Wcale nie, wystarczy, że do ciebie przyszła.

Więc wypuszczono Kropeczkę na duży, biały stół. Naokoło stołu siedzieli ludzie. Kropeczka rozejrzała się. Wcale nie byli tacy znowu straszni, mieli tylko wszystko bardzo duże: oczy, nosy, usta i mówili ogromnie głośno. Ale wszyscy uśmiechali się do Kropeczki przyjaźnie.

Zobaczymy teraz, do kogo biedronka pójdzie, kto będzie miał najwięcej szczęścia — powiedziała jasnowłosa dziewczynka.

A Kropeczce zrobiło się nagle bardzo wesoło. Postanowiła zażartować sobie z ludzi. Podeszła więc najpierw do najbliżej siedzącej osoby i po chwili zawróciła znowu na środek stołu, potem do drugiej i znowu to samo. I tak po kolei podchodziła do wszystkich siedzących przy stole.

— Wszyscy mamy szczęście — śmiali się ludzie.

Kropeczka zmęczyła się tym długim wędrowaniem. Skorzystała więc z tego, że ludzie przestali się nią zajmować i cichutko zsunęła się po stołowej nodze na ziemię. Z trudem wdrapała się na okno, które szczęśliwie było otwarte i wyszła na czerwony liść dzikiego wina. Tu znalazł się znajomy Promień słoneczny.

— Coś taka smutna, Kropeczko — zapytał — czy zrobiono ci krzywdę?

— Nie, Promyczku, ludzie nie byli dla mnie źli, tylko spadając zbiłam sobie skrzydełko i boli mnie bardzo. Chciałabym do mamy, stęskniłam się za nią bardzo.

— Niestety Kropeczko, nie będziesz mogła dziś wrócić do domu. Już za chwilkę Słońce wezwie nas do siebie. Czas iść spać. Niedługo będzie już ciemno, a po ciemku i z chorym skrzydełkiem nie trafisz do domu. Musisz przenocować u ludzi, a jutro z rana odprowadzę cię do domu.

Kropeczka rozpłakała się. Miała już dość samodzielności.

— Nie martw się Kropeczko, idź spać do kaktusa, on cię napewno przyjmie, zaraz cię z nim zapoznam.

Kropeczka zapoznała się z kaktusem, który przyjął ją bardzo serdecznie i polecił maleńkim muszkom, które u niego mieszkały, aby opatrzyły Kropeczce skrzydełko i ułożyły ją do snu.

Na drugi dzień z samego rana przez szparę w okiennicy przyszedł Promyczek.

— Chodź prędko Kropeczko — powiedział — na dworze czeka twoja mamusia, przyprowadziłem ją tu. Była, biedaczka, bardzo o ciebie niespokojna.

Kropeczka podziękowała kaktusowi za gościnę i maleńkim muszkom za opiekę. Poszła za Promyczkiem.

W ogrodzie czekała mamusia Biedronka. Z początku udawała bardzo zagniewaną na Kropeczkę, ale w końcu powiedziała:

— Gniewam się na ciebie za to, że nikogo w domu nie uprzedziłaś, ale jednak cieszy mnie to, że jesteś taka samodzielna i odważna. Jestem dumna ze swojej córeczki, nie stanie się jej nigdy żadna krzywda.

Ale jednak najlepiej jest w domu, mamo — powiedziała Kropeczka i ucałowała mamę Biedronkę w oba piękne skrzydełka.

Mama i córka razem wróciły do domu. I długo jeszcze, przez wiele dni Kropeczka opowiadała braciom i siostrom o swych przygodach.

Z. R.

W każdym domu polskim polskie pismo!

Bajka o złotej sarence

Michałek i Marysia byli bardzo biedni. Nie mieli ani ojca ani matki, a nie dobra ciotka wyrzuciła sieroty z domu i kazała im iść w świat. Poszły tedy oba biedactwa, gdzie ich oczy poniosą. Idą już, idą bardzo długo, aż ujrzeli małą chatkę na skraju lasu.

Ciemno już było, więc zapukali do okna. A tam mieszkała stara bardzo, niedobra baba, zupełnie podobna do tej czarownicy, u której byli Jaś i Małgosia.

— Czego tu chcecie, dzieciska? — zaskrzeczała stara wiedźma.

— Prosimy o nocleg, a jutro pójdziemy dalej — odpowiedział nieśmiało Michałek.

— No to kładźcie się u mnie spać, ale cicho mi być, bo jakby przyszedł mój mąż, to was żywcem pożre.

Ładna historia! — pomyślał Michałek i schowali się oboje z Marynią do wielkiej beczki na kapustę. Za chwilę usłyszeli ciężkie kroki. Mąż starej wiedźmy przyszedł do domu, ale na szczęście ich nie spostrzegł. — I znowu sobie precz poszedł.

— Za to, że wam pozwoliłam przenocować — powiedziała nazajutrz stara wiedźma — musicie pozamiatać w moim mieszkaniu. — To rzekłszy, poszła do miasta. A było tam razem aż dwanaście małych i wielkich pokoi. Michałek ujął w garść jedną miotłę, Maryśka drugą i zamiatali, co się zmieści.

Wtem patrzą, a jeden pokój zamknięty na klucz. Co też tam może być? pomyślała Maryśka i przestała zamiatać z wielkiej ciekawości. Dlaczego dwunaste drzwi są zamknięte? Aha! zajrzymy przez dziurkę od klucza. I zajrzeli! Michałek aż skoczył z zadziwienia.

Wiecie, co było w dwunastym pokoju? Na środku stała śliczna złocista sarenka do złotego wózka zaprzężona.

Wiesz ty co, Maryszka? Po co właściwie tej starej czarownicy złotego wózeczka i złocistej sarenki? Nam przydadzą się lepiej. Siadajmy i jazda!

I pojechali. Ba, ale po drodze przekonują się, że ta sarenka to jakaś dziwna istota. Umie gadać ludzkim głosem i ma różne inne czarodziejskie własności. Rozumie język drzew, kwiatów i zwierząt, a wszyscy z nią rozmawiają. Przejeżdżali właśnie koło wielkiego pieca piekarskiego, gdy piec zaczął do nich mówić:

Bierzcie chleb, bierzcie chleb!

Maryśka pobiegła co żywo i przyniosła całe naręcze świeżutkiego chlebusia. Pojechali dalej, nie widząc, że przy drodze stoi ogromna grusza. A wtem gruszka do nich:

— Rwijcie gruszki, rwijcie gruszki!

I to nie bylejakie, ale przepyszne gruszeczki! Zaś naładował do złotego wózka, co się tylko dało i powędrowali dalej.

Tymczasem stary ludożerca i jego żona spostrzegli brak złotego wózka i złocistej sarenki. Strach powiedzieć, co tam się działo, tak głośno krzyczeli i odgrażali się. Bo złoty wózek i sarenka to było ich całe bogactwo i dużo już worków pieniędzy usładali dzięki czarodziejskiej sarence.

— Dalej naprzód — krzyczał ludożerca — niech ich tylko złapię, a zaraz zjem obydwoje: Maryśkę na podwieczorek, Michałka na kwaśno z buraczkami na kolację! — I polecieli w pogoń za sierotami. Lecą, lecą, pytają się wszystkich, czy nie widzieli złotego wózka i złocistej sarenki, aż wreszcie dopytali się i dogonili.

Stara wiedźma przynagliła kroku i już była bardzo blisko sierotek. Boże, co teraz będzie? Michałka ugotuje na kwaśno z buraczkami. Wtedy czarodziejska sarenka uratowała przestraszone dzieci. Wyrzekła jakieś słowa zaklęcia i zaraz się wszyscy zamienili. Maryśka stała się różą, Michałek cierniem, sarenka liściem, a złoty wózek gałązką.

Przybiegła zdyszana wiedźma ze swym mężem. Patrzą, a tu rośnie krzak róży. Więc polecieli dalej. Ale nie dali za wygraną i nazajutrz znowu szukają zbiegów.

Tymczasem sarenka wyrzekła znowu słowa zaklęcia, przywróciła wszystkim dawną postać i pojechali dalej.

I znowu ludożerca dopadł ich śladów, i znowu stara wiedźma przyśpieszyła kroku, by schwycić Michałka, gdy wtem ujrzeli ogromny staw, na którym pływało całe stado dzikich kaczek. Wtedy sarenka zawołała:

Kaczki, kaczki, płyńcie tu,

Mostek zróbcie nam co tchu!

Kaczki usłyszawszy to zbiły się w jedną gromadkę i zrobiły ze siebie kładkę, po której złocisty wózeczek spokojnie przejechał.

Cóż kiedy ludożerca z wiedźmą widział to i słyszał, więc zaraz także powtórzył:

Kaczki, kaczki płyńcie tu,

Mostek zróbcie mi co tchu!

I znowu kaczki zbiły się gromadę, uradowany olbrzym wszedł na kaczy mostek, gdy wtem — na środku stawu, kaczki zaczęły krzyczeć: kwa! kwa! kwa! — rozbiegły się na wszystkie strony, ludożerca z żoną wpadli do wody i utonęli.

A Michałek z Marysią wyrośli na porządnych ludzi, mieli wiele pieniędzy i czynili dużo dobrego na świecie. dużo dobrego na świecie.

Książnica Kopernikańska w Toruniu